

# Czas apokalipsy

**Warto poszukać „Kabaretu warszawskiego”, bo to najlepsze od lat przedstawienie Krzysztofa Warlikowskiego** **Jacek Wakar, Polskie Radio**

Dlaczego poszukać? Ano dlatego, że na razie odbył się zaledwie jeden oficjalny pokaz całości „Kabaretu warszawskiego”. Najszybciej przedstawienie pojawi się w lipcu na gdyńskim festiwalu Open'er, gdzie w ubiegłym roku Nowy Teatr z sukcesem pokazywał „Anioły w Ameryce” Kushnera. Potem trafi do Awinionu, bo Warlikowski jest tam od lat wyjątkowo oczekiwanym gościem. Do Warszawy powróci w drugiej połowie września. Jest na co czekać. Tego jednego pokazu też miało nie być. Magdalena Cielecka złamała rękę i początkowo planowano wyłącznie seanse drugiej części widowiska.

Niby „Kabaret warszawski” składa się z dwóch odrębnych spektakli osadzonych w Berlinie i w Nowym Jorku. Niby można je grać osobno, ale byłaby to jedynie teatralna proteza. Część berlińska znajduje odbicie w nowojorskiej, w nowojorskiej wracają refleksy berlińskiej. Na szczęście Cielecka zdecydowała się wystąpić z ręką w gipsie, dodatkowo – i brawurowo – to ogrywając.

„Kabaret warszawski” w wielu momentach olśniewający, a czasem minoderyjny, zdaje się dla Krzysztofa Warlikowskiego przedstawieniem granicznym. Ostatnie jego inscenizacje, z „Opowieściami afrykańskimi według Szekspira” na czele, pozostawiały niedosyt. Były w nich ślady wielkiego teatru, były dowody na wyjątkową wyobraźnię twórcy. Przeważała jednak coraz bardziej nieznośna kontemplacja melancholii, pławienie się w swoim świecie, w którym każdy element był już dawno rozpoznany. Teatr Warlikowskiego zatracił gdzieś swoją świeżość, zdawało się, że powielana wielokrotnie formuła na naszych oczach się wyczerpała. Niewykluczone też, że trochę rozpieścił nas sam artysta swoimi największymi osiągnięciami, takimi chociażby „Krumem” albo „Aniołami w Ameryce”. Faktem jest, że „Opowieści afrykańskie” za-

wyczaj lepiej odbierano poza Polską niż w kraju. Niemniej „Kabaret warszawski” wychodzi naprzeciw oczekiwaniu, że Warlikowski jakoś „przewietrzy” swój teatr, zamknie poprzedni, a otworzy nowy etap, zmać stojącą od dawna wodę. Tym bardziej że jest to pierwszy spektakl, który na stałe grany będzie w siedzibie Nowego Teatru, w warszawskiej hali przy ulicy Madalińskiego. Zatem szczególnie dogodna to okazja, aby Nowy zdefiniował sam siebie.

Sytuacja przypomina tę z roku 2009, kiedy powstawała „(A)pollonia” – pierwsza inscenizacja Warlikowskiego pod szyldem własnej sceny. Wtedy też, co najzupełniej zrozumiale, czuł się on w obowiązku samookreślenia się, co zaowocowało spektaklem mocnym, ale o zbyt jasnej, wyraźnej publicystycznej tezie. Z „Kabaretem warszawskim” jest na szczęście inaczej, ponieważ wyzbył się on tak charakterystycznej dla tamtego dzieła deklaracyjności. Wyszedł spod ręki artysty, który w dniu pierwszego oficjalnego pokazu skończył pięćdziesiąt jeden lat, zatem ma chyba pewność reżyserskich działań i nic nikomu nie musi udowadniać. Najważniejsze zaś, że mając świadomość swojej pozycji, może popatrzeć na siebie z dystansu. I Warlikowski – po raz pierwszy od niepamiętnych, dla mnie przynajmniej, czasów – się na to zdobył. To jest największe zaskoczenie, a jednocześnie ulga, jaką przynosi „Kabaret warszawski”. Jeśli ktoś chce, niech się uszczypnie, ale tak – to przedstawienie dużymi partiami bywa niebywale wręcz śmieszne. Inna rzecz, że rzadko wywołuje śmiech bezinteresowny, śmiech, za którym nie czai się poczucie lęku lub wręcz rozpacz. Jednak w sekwencjach kabaretowych albo w brawurowych kreacjach Magdaleny Cieleckiej i Mai Ostaszewskiej czujemy od dawna nieobecna w teatrze Warlikowskiego lekkość. „Kabaret

warszawski” bywa bowiem wariacją Warlikowskiego na temat kabaretu – skrzywioną oczywiście, prześmiewczą właśnie, celowo kaleką. Ansambl Nowego w scenach z fikaniem nogami prezentuje się znakomicie, od początku podkreślając, z jakim rodzajem zabawy mamy do czynienia. Dość powiedzieć, że aktorki i aktorzy Nowego świetnie śpiewają, a zabawa samą konwencją niepoważnego widowiska także im przynosi – jak się zdaje – szansę na zaczerpnięcie oddechu. Cielecka i Stanisława Celińska mają numery solowe, demonstrując w nich humor, energię i klasę. Publiczność zaś podchwytuje melodię. Warlikowski z kolei znów okazuje się reżyserem skutecznym. Zaprasza do zabawy, by potem burzyć nastrój. Ale już wyobrażam sobie zachwyconych widzów w Awinionie.

Pierwsza część rozgrywa się w Berlinie lat trzydziestych ubiegłego wieku, kiedy w powietrzu czuć rodzącą się faszyzm. Podstawą był tu przede wszystkim „I Am a Camera” Johna Van Drutena – adaptacja „Pożegnania z Berlinem” Christophera Isherwooda – która posłużyła Bobowi Fosse'owi do nakręcenia „Kabaretu”. Tu również spotykamy szukającą swojego miejsca aktorkę Sally Bowles (wybitna rola rozsadzającej scenę Magdaleny Cieleckiej), swoją bezceremonialnością rozwalającą istniejący porządek. Sally jest na dzisiejszą nutę wyzwolona, a przede wszystkim gorzko rozczarowana. Prowadzona przez swojego kochanka i mentora (Andrzej Chyra) widzi więcej niż inni i dawno straciła wszelkie złudzenia. Niemcy bawią się, ale jest to upiorny taniec. W jego rytmie do życia budzi się rasa nadludzi przyjmujących jedynie germańską kulturę. Jak chłosta brzmi przemowa Ewy Dałkowskiej o wyższości Wagnera nad innymi kompozytorami. Nietrudno doszukiwać się w niej zakamuflowanych znaczeń. Berlińska część należy



do Cieleckiej i Chyry, którzy od dawna nie dostali od Warlikowskiego materiału na tak fantastyczne role. Grają z brawurą i swobodą, podobnie zresztą jak wszyscy pozostali wykonawcy. Nowy Teatr miał zawsze wyjątkowy zespół, ale „Kabaret warszawski” – być może dzięki zmienności konwencji grania – stanowi jego dotychczasowy szczyt. To już jest aktorstwo na europejskim poziomie, szlachetnie podporządkowane partnerowi oraz przesłaniu inscenizacji. To zaś wydaje się proste, a dzięki temu komunikatywne. Warlikowski, czując dziś w powietrzu opresję, wypowiada się przeciw wykluczeniom. Berlińska częścią kieruje reflektory na społeczeństwo, nowojorską – na jednostkę. Łączy je przecucie końca starego świata i poczucie zagrożenia, jakie niesie nowe. Wszystko to szczególnie zrozumiale brzmi w Warszawie, bo to miasto staje się ukrytym bohaterem przedstawienia.

W części nowojorskiej opartej w przeważającej mierze na filmie Johna Camerona Mitchella „Shortbus” (swojego czasu wzbudził sensację – jedni mieli go za arcydzieło, inni za pretensjonalne artporno) jeszcze nie ucichły odgłosy samolotów wbijających się w wieże World Trade Center. Tyle że Warlikowski celowo zawęża perspektywę, ruinę metropolii odnajdując w ludziach. Skupia się przy tym na ich seksualności, pokazując, że dziś nie podlega ona żadnym klasyfikacjom. Konferansjerem w tych fragmentach jest Jacek Poniedziałek jako Justin Vivian Bond – transseksualna pieśniarka, aktorka i pisarka. Ich wymowa wydaje się nadto oczywista, ale znów ratuje je humor Warlikowskiego i Mai Ostaszewskiej, grającej psychoterapeutkę i seksuologkę, która nigdy nie przeżyła orgazmu. W roli Ostaszewskiej widać, jak nawiązuje do swoich poprzednich kreacji u Warlikowskiego, tym razem biorąc w ironiczny nawias wszystkie neurozy, które dotąd u niego etatowo grała. To zresztą cecha tego przedstawienia. Reżyser chętnie cytuje w nim samego siebie, tyle że już nie serio, ale z dystansem. Syntem Stanisławy Celińskiej nie jest na przykład Jacek Poniedziałek, ale Redbad Klijnstra. Oboje pokazują inny ton w swojej relacji opartej na grze o dominację. Nowy Jork wypada jednak słabiej od Berlina. Trochę dlatego, że w środkowej partii mamy na scenie Małgorzatę Hajewską-Krzysztofik (choć znakomita aktorka robi, co może) i Claude'a Bardouila, muzykę Radiohead oraz powtórkę z „Nancy. Wywiad”, w której Bardouil występował z Magdaleną Popławską. Ogromna sekwencja ni to mówiona, ni tańczona niczego nie wnosi, ale skutecznie rozbija napięcie. Czasem zawodzi też literacki montaż wybranych przez Warlikowskiego fragmentów. Wydaje się też, że aktorska energia niepotrzebnie wytraca się w banałach i pretensjonalności. Drażni też manifest wypowiediany przez Poniedziałka, w którym przedstawia Nowy Teatr jako grupę artystów wykluczonych. W kontekście tego niezbyt taniego, przynajmniej, widowiska brzmi on nieznośnie minoderyjnie. Warlikowskiemu i jego ekipie naprawdę nie ma czego współczuć.

**KABARET WARSZAWSKI | reżyseria: Krzysztof Warlikowski | Nowy Teatr w Warszawie**

